



Klub złodziejski

2017-04-26

Choć od upadku habsburskiej Austrii upłynęło już prawie sto lat, wciąż żywe są wspomnienia o czasach panowania Najjaśniejszego Pana cesarza Franciszka Józefa I. Szczególnie dobrą opinię pozostawiło po sobie austriackie sądownictwo.

Michał Kozioł

Rzeczywiście, szybkość działania cesarsko-królewskich sądów budzi zdumienie, zwłaszcza wtedy, gdy porównamy je ze sposobem i tempem działania współczesnego wymiaru sprawiedliwości. Zdarzało się jednak, że nawet wówczas akty oskarżenia były obszerne, rozprawy trwały po kilka dni, a wyrok zapadał w środku nocy.

Tak właśnie było w 1898 r., w sobotę 30 kwietnia, kiedy o godzinie pierwszej zakończyła się przed sądem przysięgłych rozprawa przeciwko – jak pisała ówczesna krakowska prasa – „klubowi złodziejskiemu”, czyli „złoczyńcom, którzy byli przez długi czas postrachem mieszkańców Krakowa, dopuszczając się śmiałych i licznych kradzieży”. Jeżeli wierzyć relacji krakowskiej prasy, „w gmachu sądu karnego było gwaro i głośno”, a tłum publiczności „wyczekiwał niecierpliwie ogłoszenia wyroku”.

Klub złodziejski

„Klub”, który swoją działalność rozpoczął jesienią 1897 r., liczył 12 członków, w tym dwie niewiasty. Dziennikarze relacjonujący przebieg procesu twierdzili, że członkowie „klubu” dzielili się na dwie kategorie – członków „zwyczajnych” oraz „nadzwyczajnych”. „Zwyczajni” kradli, „nadzwyczajni” zaś kupowali i odsprzedawali ze znacznym, a czasem wręcz ogromnym zyskiem „owoce złodziejskiej pracy”. „Zwyczajnych” było pięciu i wszyscy prawie w jednym wieku, bo mieli od 20 do 23 lat. Owi młodzieńcy wykonujący „czarną”, złodziejską, a przede wszystkim ryzykowną robotę, nazywali się: Jan Łomzik, Józef Matuszek, Józef Tokarz, Zygmunt Tondera i Ludwik Witek. Zgodnie z podmiejskim obyczajem mieli swoje pseudonimy. Łomzik był znany jako „Sipta”, Matuszek jako „Suchy”, Witek zaś jako „Kominiarz”. To właśnie ten ostatni, „w cywilu” pomocnik ceglarski, (pozostali byli murarzami lub robotnikami niewykwalifikowanymi), choć nie najstarszy wiekiem, uchodził za przywódcę grupy.

Zdecydowanie inna, i wiekowo, i co do uprawianej profesji, była grupa „nadzwyczajnych”. W jej skład wchodziło – oprócz dwóch niewiast – pięciu mężczyzn: Dawid Klinger, Wolf Palenker, Dawid Stuber, Samuel Stuber oraz Abraham Józef Trenner. Wszyscy należeli do grupy zawodowej określanej bardzo pojemnym słowem „handlowiec”. Dwie panie, czyli Rozalia Pływacka i Franciszka Sokołowska odgrywały w złodziejskiej i paserskiej klubowej działalności zdecydowanie mniejszą rolę. Jeżeli nawet miały z tego tytułu jakieś dochody, były one absolutnie nieporównywalne z profitami, jakie osiągnęli panowie Klinger, Stuber czy Trenner.



Śmiałość złoczyńców

„Zwyczajni” członkowie działali w sposób dość prymitywny. Po prostu włamywali się do mieszkań zamożnych krakowian. Często wykorzystywali do tego okna. Ten sposób preferował zwłaszcza oskarżony Witek, odznaczający się dużą zręcznością. Potrafił po rymnie bez problemów wspiąć się nawet na wysokie piętra. Lista poszkodowanych była długa i urozmaicona. Figurowali na niej: Adolf Adler z ul. Augustiańskiej, Bolesław Girtler z ul. Zgody (dziś Czapskich), Ignacy Metzner z ul. Dietla, małżonkowie Saula i Jakub Schamroth także z Dietla oraz wielu innych. Niekiedy udawało się zdobyć całkiem poważny łup. Tak było w przypadku pewnego mieszkania przy ul. Topolowej. Jego właściciel ocenił poniesioną przez siebie szkodę aż na prawie tysiąc złotych reńskich. Stracił bowiem srebrne lichterze oraz dużo złotej biżuterii. Zupełnie inaczej ocenili zdobycz „nadzwyczajni” członkowie złodziejskiego klubu, czyli paserzy. Zapłacili bowiem młodym ryzykantom za wszystkie te precjoza tylko kilkanaście reńskich.

Słowo „ryzykanci” było w pełni uzasadnione. Nawet w relacjach prasowych z procesu pojawiała się nuta podziwu dla „złoczyńców”. Reporter „Nowej Reformy” pisał m.in.: „Złodzieje odznaczali się niezwykłą śmiałością. Tak np. jeden z nich, wszedłszy przez otwarte okno do pokoju, kradł tamże w chwili, gdy w sąsiednim pokoju gospodarze domu wraz z gośćmi grali w taroka”.

Śmiałość nie opuściła piątki młodych złoczyńców nawet na sali sądowej, choć stanęli wobec poważnego wyzwania. Trybunałowi przewodniczył radca sądowy Juliusz Pietsch, oskarżenie wnosił prokurator Ferdynand Ferens. Podśądnych bronił doborowy zespół mecenasów: Stanisław Abłamowicz, Zygmunt Blatteis, Rudolf Frühling, Ludwik Szalay oraz Ludwik Turnau. Stół trybunału – jak pisała krakowska prasa – podobny był do lady jubilerskiej. Ułożono bowiem na nim skradzione przez oskarżonych, ale odzyskane w trakcie śledztwa precjoza. Jednak ani dowody rzeczowe, ani karabiny z nasadzonymi bagnetami, w które uzbrojeni byli strażnicy, nie onieśmieliły młodych „złoczyńców”, których doprowadzono z więzienia św. Michała. Pozostali podśądni, czyli paserzy, odpowiadali „z wolnej stopy”.

Przez cały czas trwania rozprawy, która ciągnęła się przez trzy dni, przed sądem przewinęło się 14 świadków. Pod koniec trzeciego dnia przysięgli stanęli przed trudnym wyzwaniem. Musieli odpowiedzieć na 31 pytań „głównych, dodatkowych i ewentualnych”. Narada przysięgłych trwała do północy. Prawie na wszystkie zadane pytania ława odpowiedziała „tak”, uznając tym samym winę oskarżonych. Teraz trybunał musiał udać się na naradę, aby ustalić wysokość kar. Mimo spóźnionej pory publiczności ciągle przybywało i wielu ciekawskich nie mogło się wcisnąć do sali sądowej. Na owo wielkie zainteresowanie miała z pewnością wpływ krążąca po mieście pogłoska o wyjątkowej postawie młodych oskarżonych. Jedna z krakowskich gazet tak o nich pisała: „Charakterystyczne jest zachowanie pięciu głównych podśądnych. Jeden tylko okazuje pewną skuchę. Inni zachowują się butnie i wyzywająco. Spodziewają się wysokiej kary, mimiką na palcach pokazują »znajomym« wśród audytorium, ile lat więzienia ich czeka”.

Po wyroku

Nawet po ogłoszeniu wyroku „pięciu głównych podśądnych” nie straciło rezonu. Jak pisała prasa: „Trybunał ukończył naradę krótko przed pierwszą godziną i wygłosił wyrok, mocą którego tylko troje



oskarżonych uwolniono od winy i kary, skazano zaś dziewięć osób. Główni sprawcy otrzymali: Ludwik Witek sześć lat, Jan Łomzik jeden rok, Józef Tokarz trzy lata, Zygmunt Tondera pięć lat i Józef Matuszek pięć lat ciężkiego więzienia, obostrzonego postem co 14 dni lub co miesiąc. Z drugiej kategorii oskarżonych skazani zostali: Dawid Klinger, Dawid Stuber, Wolf Palenker i Abraham Józef Trenner na trzy miesiące więzienia. Najmniejsze wrażenie sprawił wyrok na głównych skazańcach. Matuszek, występujący podczas całej rozprawy jako „generalny mówca” całego klubu, zawołał: „przyjmujemy wyrok”. Pozostali wołali: „tak nam jest, jakbyśmy zostali do wojska zaasenterowani” i w ogóle zuchwale się zachowywali.

Tak więc tylko Salomon Stuber oraz Franciszka Sokołowska i Rozalia Pływacka uniknęły kary. W przypadku obu niewiast przysięgli uznali, iż mogły one rzeczywiście nie wiedzieć, że przedmioty, które chwilowo przechowywały, pochodziły z kradzieży.

Dla paserów trzy miesiące w więzieniu nie były rzeczą specjalnie miłą, ale z pewnością wkalkulowaną w ryzyko zawodowe. Natomiast wyrok sześciu, pięciu lat za zuchwałe kradzieże był dobrą legitymacją dla młodego człowieka zaczynającego więzienny staż i kryminalną karierę. Zdecydowanie podnosił jego pozycję w celi u krakowskiego św. Michała, czy nawet w „domku loretańskim”, czyli w wiśnickim więzieniu, gdzie przetrzymywano szczególnie niebezpiecznych przestępców. Taki wyrok to było rzeczywiście „zaasenterowanie”, zaliczenie do złodziejskiego cechu.

Nie wiadomo, jak potoczyły się losy „Suchego”, „Kominiarza” i ich dwóch kolegów. Tylko „Sipta”, czyli Jan Łomzik na dobre wszedł w środowisko złodziejskie. Jeszcze przez wiele lat używał przybranego w młodości pseudonimu. Wraz ze swoim nowym współnikiem Antonim Bobelą działał głównie na Półwsiu Zwierzynieckim. Policja podejrzewała ich o „cały szereg włamań i kradzieży”. Fakt, że musiał poszukać nowego współnika, pozwala mieć nadzieję, że jego towarzysze z czasów młodości po odsiedzeniu wyroków wrócili do uczciwej pracy murarzy lub ceglarzy.